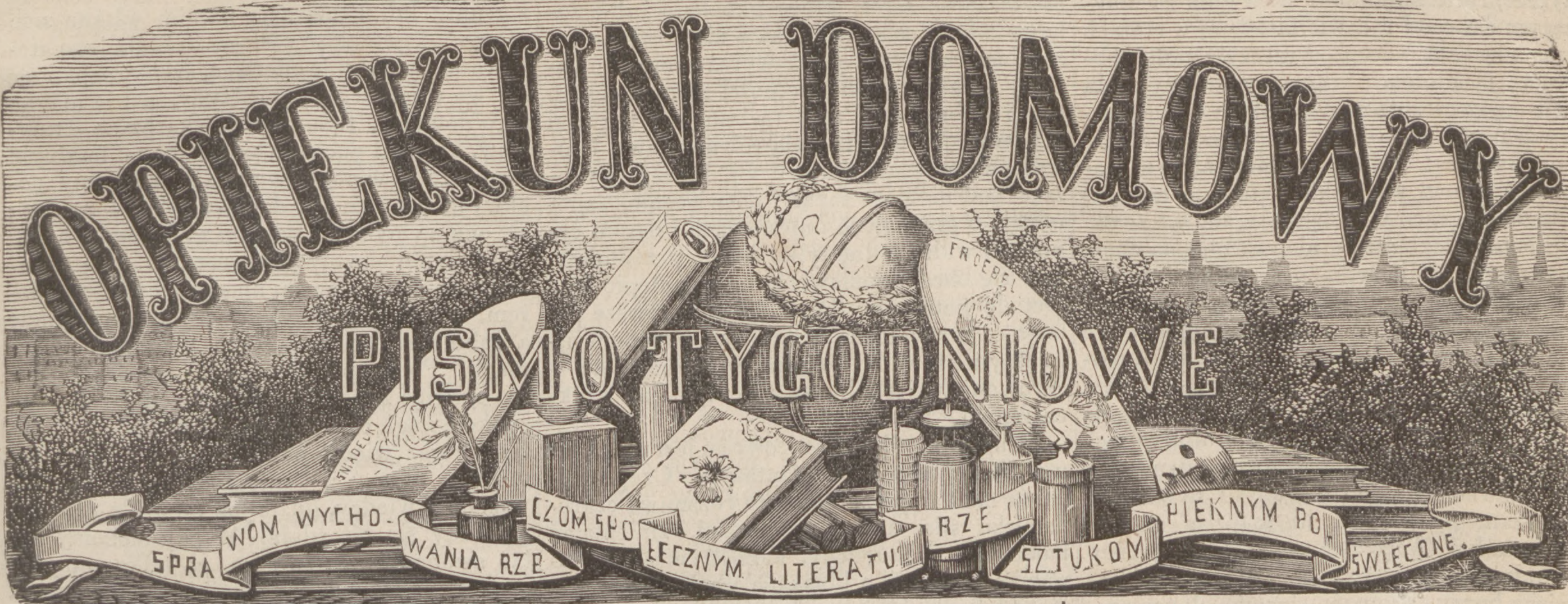
Nr. 1. Warszawa dnia 21 Grudnia / 2 Stycznia 187²/₃ roku. ROK IX. Seryja 3-cia.



CENA PRENUMERATY

łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

w Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:
rocznie .... rs. 3 kop. 60	rocznie .... rs. 5
półrocznie ...... rs. 1 „ 80	półrocznie...... „ 2 kop. 50
kwartalnie...... „ 90	
miesięcznie..... „ 30	w Austryi rocznie 9 guldenów
	w Prusach „ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u **Czapińskiego**, (daw. księg Rychtera) we *Lwowie* u **Wilda Karola**; w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza; *w Krakowie* w księgarni **A. Nowoleckiego.**

Numer pojedyńczy kop. 10.

NA KRAŃCACH.

Lodowate łono szczytowych gór alpejskich i rozżarzona pierś Wezuwijusza; wiekopomne zwycięstwa Cezarów, Napoleonów i grobowe upokorzenia sił rozmiażdżonych; zapał, rozdmuchujący pioruny myśli i zimna „kupiecka“ rachuba; wszystkie antytezy, którymi słowa swe upiększają krasomówcy i poeci—nie wypowiadają jeszcze z dostateczną energiją tych wprost przeciwnych prądów, jakie w duszy ludzkiéj przebiegają, wyżłabiając sobie niczym zasypać się nie dające łożyska. Ormuzd i Aryman, niebo i piekło, miłość i wstręt—to tylko drobne odłamki lawy, oszlifowane wieków ręką mistrzowską, lawy zastygłéj, zimnéj, która niegdyś wrzącym płynęła strumieniem. Pomimo bowiem niezliczonych wahań i kołysań, jakie psychologowie, rozbierając wewnętrzną naszę istotę, w nas zaobserwowali; pomimo przejść i odcieni prawie niedostrzegalnych;—w duszy jak w oceanie zlewają się rzeki, strumienie i potoki, tworząc jedno wielkie zdrojowisko życia.... Właśnie temperatura tego zdrojowiska przedstawia u rozmaitych jednostek owe przepaściste różnicę, które dopiero co staraliśmy się określić i scharakteryzować. Wprawdzie bywa i taki wypadek, że i w jednéj duszy powstają dwa różne zdrojowiska, w wiecznéj pozostające z sobą walce, w których zanurza się człowiek raz we wrzącéj, drugi raz w mroźnéj kąpieli stosownie do tego, jaki prąd chwilowo przeważa. Ale jestto wypadek innéj natury, zdarzający się w osobistościach rozwiniętych wysoko, które nie mogły znaleść jeszcze duchowéj równowagi, które rozdwoiły się—jak marzenie i rzeczywistość. Nie o nich tu mowa, wrócimy jeszcze do tego przedmiotu. Obecnie chcielibyśmy bliżéj się przypatrzeć owéj różnicy temperatur, sprawiającéj walkę niejednéj części duchowéj człowieka z drugą; ale jednéj warstwy społecznéj—z drugą. Zbadanie takie rozświetli nam może choć w części drogę, po któréj iść musimy lub iść powinniśmy.

Umysły karłowate lub skarlałe wiekiem i niedołęstwem pomijamy. Częścią składową najdzielniejszą każdego społeczeństwa są dusze, w których drga życie i poczucie teraźniejszości. Zadania najróżnorodniejszego rodzaju jak rój wierzycieli tłumem cisną się do ich świadomości, chcąc zabrać cały jéj ruchomy i nieruchomy majątek. Niéma żadnego wyjścia, żadnego środka zaradczego. Trzeba te zadania przyjąć lub je zupełnie usunąć. Wobec tak nieuniknionéj konieczności różnie się ludzie zachowują. Jedni starają się je sprzymierzyć ze swojemi uczuciami i namiętnościami, mniejsza o to, czy one sięgają daléj niż kaprys jednodniowy czy téż pragną wywołać burzę w szklance wody. Drudzy znów, myślą szybując po sferach niedoścignionego oddalenia, posługiwać się chcą niemi w niepowstrzymanym locie swojéj fantazyi. W obu wypadkach bezwiednie muszą się poddać kierunkowi owych pytań i zadań naglących, co się tak natarczywie przyjęcia domagały. Osobistości w ten sposób opanowane nie mają bynajmniéj w sobie rozdwojenia, niezgody wewnętrznéj, któraby ich ostrzegała, że są niewolnikami. Owszem swobodni i dumni, sądzą, że rozkazują ziemi i niebu, gdy tymczasem są przykuci silnemi łańcuchami idej, które nad niemi władztwo zagarnęły.

Rzecz-to napozór dziwna, w gruncie jednakże prawdziwa. Czy widział kto kiedykolwiek namiętność działającą rozważnie? Zdaje się, że nie. Stosownie do kierunku, jaki przybrała, iść będzie ślepo, szybko, roztrącając po drodze wszystko, co jéj staje na zawadzie bez zastanowienia się, czy to warte pogardy czy téż szczeréj miłości, byle tylko dojść tam, gdzie się jéj pod ognistą zasłoną cel ulubiony przedstawia. Różnobarwność panuje tu zadziwiająca. Jednakowym zapaleni ogniem: filantrop poświęca swe życie dla wyratowania jakiegoś biédaka, dumny depce istnienie i godność innych; rozmodlona bigotka opuszcza własne dzieci, pozostawiając je bez opieki, by pójść wyklęczeć się przed

ŚLADY ŻYCIA.

I.

Tyle życia, ile... w czynie.

I siedliśmy do stołu i złamaliśmy opłatek, dzieląc się nim jak stary zwyczaj każe. Cześć mu, bo on symbolizując braterstwo i zgodę, przypomina ogólnéj rodziny węzły! Przygnieceni troskami codziennego życia, znużeni walką z powszednich potrzeb nawałem, rozgorączkowani najbliższemi celami naszych powołań, potrzebujemy odetchnąć, odpocząć, odświeżyć siły i serce. Gdzie źródło z którego płynie pokój, gdzie przystań dla skołatanych żeglarzy? Oto rodzinne ognisko pociąga nas ku sobie. I ci co na swoim zasiedli zagonie, i ci których los rzucił na szerszéj pracy gościniec—i mężni i zwątpiali, i bliscy i dalecy—wszyscy zarówno tęsknym wspomnieniem gonią młodości swéj zaranie. Błogo było pod ojcowskim dachem, przy sercu matki i w bratnich dusz gronie. Członkowie jednéj rodziny rozrzuceni po szerokim swiecie po dniach wielu i po latach wielu gromadzą się znowu. Już na ich czołach osiadły przebytych burz ślady, na bojowisku życia zarysowały się one. A jednak w znajomym kole zda się, że dni ubiegłe wróciły na nowo. Młodzieńczym blaskiem wypogodziły się twarze, pulsa dawnym zabiły tętnem. Porachowali się wszyscy—brakowało wielu! Jedni już się nie zjawią na żadną z nami biesiadę, inni z dalekiéj strony na skrzydłach tęsknéj myśli łączą się dziś wspólnych pragnień akordem. W bratnim uścišnieniu zabłysła niejedna łza w oku. Wyspowiadali się wszyscy: co kto zrobił—co robi—co zrobić zamyśla. Tu przy rodzinnym stole nie ma zawiści żądeł—na szczerą mowę odpowiada wiara i słowo serdecznéj zachęty.

Świętemi są krwi ogniwa—szanujmy je. One nie staną nam zaporą na drodze postępu, owszem przyspieszą jego pochód, i dadzą pracy naszéj siłę zrodzoną we wspólnym wzmocnieniu.

Spod rodzinnéj strzechy, hej daléj na życia arenę, do powszechnich trosk żywota, do bólów i walki,—a wszystko w imie téj myśli, że z rodzin składa się wspólna rodzina, że z drobnych czynów powstają wielkie. „Słowa nasze zolbrzymieją — siły nasze się rozrosną,“ a my znaczyć będziemy postępu tego kręgi....

* * *

Czerwone afisze zawiadomiły że w miejsce zbiegłych bocianów, przybyli włoscy śpiewacy. Stali-to i wierni goście Warszawy... szkoda tylko że oni za ciepłem do nas, a my za nimi... Ha trudno!... kiedy już są to przyjrzyjmy się im bliżej.

Na początek dali nam poznać *Joannę d' Arc* Verdiego. Jestto nowość dla Warszawy, i dla wielu innych muzykalniejszych nawet miast, dzieło to jednak nie odznacza się niczym i chluby autorowi zpewnością nie czyni... Więc wolelibyśmy raczej rzecz już znaną, a więcej wartości mającą.

Wykonanie Joanny d'Arc było prawie zadawalniające, dzięki szczególnéj pani *Mariani*, która posiada sopran czysty dwuoktawo-

krzyżem; roznamiętniona lwica goni za umykającym się spod rąk wielbicielem; w eterach żyjący idealista ucieka od rzeczywistości, obrzucając ją błotem; krańcowy materyjalista śmieje się cynicznie ze wszystkich dotychczasowych uczuć człowieka, które go wyróżniają od zwierząt. Nieokiełznana niczym namiętność zrywa wszystkie pęta, nie umiejąc nic uszanować, co w związku z nią nie zostaje. Słowa przekleństwa nie zważają na cnotę lub zasługę; dbają tylko o przedmiot znienawidzony, rozpatrując go ze strony ciemnej i mrocznej, bo innych widzieć nie mogą. Te same fakta, te same uczucia wywołują u jednych zachwyt serafiiczny u innych—cynizm brutalny. Niéma żadnéj miary, żadnego środka porozumienia. „Wystawic mu ołtarz“ wołają jedni „ukrzyżować!“ wrzeszczą drudzy....

Więc świat ten—to chaos myśli, to labirynt przekonań, po którym niepodobna znaleść przewodnika? Więc świat ten oddano na łup zdań tak sobie przeciwnych, jak są przeciwne zjawiska burzy i gromów—jasnym słońca promieniom? Więc nic niéma stałego na ziemi; czy téż ci ludzie, co ją myślą—ogarnąć się starali, zrobili sobie z innych może zabawną, ale w gruncie bolesną igraszkę? Nie narzekajmy. Bez prób i męczarni nie zdobylibyśmy wielu prawd, które przynoszą nam spokój lub też stają się przestrogą na przyszłość. Bez namiętności mnóstwo czynów wielkich, któremi chlubi się ludzkość, zmarniałaby w ciasnym kurniku egoizmu... Zdania tak wrogie sobie dają wiele do myślenia, budzą uśpioną uwagę, rozprowadzają strumień życia po wszystkich arteryjach naszego umysłu. Nie leży w nich prawda, niéma w nich rozstrzygnięcia najważniejszych kwestyj, obchodzących społeczeństwo; ale one stają się pijonierami na niewykarczowanym gruncie ducha, budzącego się ze snu dzieciństwa. Młodzieńczym wybuchając płomieniem, rozetlą wiele iskier, które w popiele przesądów wkrótce zgasnąćby mogły. Powołując do ruchu krzykliwym hasłem, elektryzują drzémiących i wskazują im dobitnie, że nowe weszło słońce. Jestto faza przejściowa u jednostek i społeczeństw, które nowy okres swego istnienia rozpoczynają. Gorące i namiętne serce radeby same spłonąć, byleby widnokrąg oświetlić. Gorące i namiętne serce radeby wszystko spalić, byle samemu nie czuć niszczącego żaru. Jestto ostateczność namiętna, ostateczność serca, które ukochało lub znienawidziło. Zestawienie takie nie powinno razić dusz tkliwych, gdyż wyraz „serce“ uważamy za zbiornik namiętności zarówno złych jak i dobrych. Przed trybunałem rozwagi tak jedne jak drugie mają równe prawa i równemu podlegają sądowi. Ci, którzy, wynosząc pod niebiosa zapał i poświęcenie, zapominają o gniewnych uniesieniach i nagim cynizmie, widzą jednę tylko stronę przedmiotu. Kto się chce zastanawiać, musi potępić taką metodę patrzenia. Potrzeba nam zawsze pamiętać, że wyłączne oddanie się popędom namiętnym prowadzi do różnych krańcowości— zarówno w kierunku szlachetnym jak i nikczemnym.

Drugim źródłem krańcowości jest panująca u większéj części ludzi fantazyja. Czego mozolna nauka nie zdobyła, to rozsnuwa czarodziejska siła naszéj wyobraźni, zmieniając pajęczynę w łańcuchy, kamień w złoto, lepiankę w pałace o blaskach wschodnich. Nie mogąc poprzestać na skromnych choć potężnych wynikach wiedzy, buduje tęczowy gmach przypuszczeń i złudzeń. Człowiekowi w nich dobrze: ma zaspokojone wszystkie potrzeby jeżeli nie ciała to ducha przynajmniéj i nie potrzebuje się biedzić i mozolić. Wszystko przychodzi tak łatwo: powstają systemata i systemaciki, które zadawalniają nas na chwilę; przynosząc ożywienie rozmowie, blask oku, światło duszy. Niéma nic zawiłego i niewytłómaczonego; dla umysłu otwiera się kraina wszechwiedzy, zdobytéj łatwo—jednym zamarzeniem, jednym wzlotem w sfery, w których nie doznaje się żadnego oporu — jeżeli się pożegna rozum, jako przewodnika. Rzecz oczywista, że i tu równie jak pod wyłącznym wpływem namiętności, dochodzi się do wprost przeciwnych sobie rezultatów: jedni budują gmach społeczny z nici, drudzy z zapałek a inni jeszcze ze śmieci. Jedni żyjąc tylko wśród marzeń i karmiąc (nb. swego ducha) marzeniami, życzyliby sobie, ażeby ludzie dostali odrazu skrzydeł i daleko od ziemi, tego „padołu płaczu“ ulecieli; inni chcieliby zapędzić ludzkość do czasów nierozróżniania ciała od umysłu; inni znów krzyczą, że świat runie z pewnością, jeżeli nie wciśnie się w formulki, przez nich sfabrykowane. Duch żądny wiedzy, znudzony powolną drogą, jaką idą pojęcia i sprawy tego świata, chciałby dowieść swojéj wszechmocy, przekształcając go z gruntu lub wyciskając na nim własne swe piętno. Tajemnicze zasłony drażnią jego ciekawość, chciałby je oderwać, ażeby rozpatrzeć się we wnętrzu świątyni Izydy; a nie mogąc tego dokonać, stwarza całą skarbnicę domysłów, któremi pociesza się jak lis po fatalnym wypadku z winogronami. Chcielibyśmy pochwycić prawdę jak dziecko księżyc za rogi; ale ona wymyka się naszym zachceniom a słucha jedynie nawoływania rozumu. Niezadowolnieni i rozgniewani niespodziewanym uporem, zaprzeczamy głosu istotnéj prawdzie a lubujemy się w naszych własnych urojeniach. Ponieważ urojenia długo trwać nie mogą, więc zmieniamy je codzień, byleby zaspokoić naglącą potrzebę. A brnąc coraz daléj i coraz więcéj oddalając się od prawdy, musimy stanąć z konieczności na krańcach wszelkiéj wiedzy, gdzie już kontrola rozwagi na nic by się nie zdała. Wtedy możemy hulać swobodnie i wszystko, co tylko pomyślimy, stanie się dla nas wynikiem najprawdziwszéj prawdy, najrzeczywistszéj rzeczywistości: szkoda tylko, że to wszystko znajduje się w naszym umysle nie zaś pozewnątrz niego. Dopóki złudzenia nam wystarczają, jesteśmy najzupełniéj zadowolnieni z gmachu myśli swoich, z przeróbki rzeczywistości; gdy one znikną, rozwieją się, gdy konsekwencyja zaprowadzi nas na manowce, z których niéma wyjścia, zostajemy bez steru, bez nadziei, bez myśli przewodniéj, która nas do ruchu pobudzała. Marzyliśmy o wielkości, o sławie, o zbawieniu ludzkości, o naszych systematach, które miały zreformować społeczeństwo, i widzimy w końcu, że byłto tylko fajerwerk świetny ale chwilowy i dymiący...

Uczucie i fantazyja są związane z sobą nierozerwalnym łańcuchem jak owi bracia Lelum i Polelum w poemacie Słowackiego; wspierają się wzajemnie, pożyczając sobie to barw to materyjału, to uludnych kształtów to treści blaskiem olśniewającéj. Tym sposobem przemawiają one do mas, zdobywając sobie ich uznanie, zachwycając je, jak błyskotki. Miłosne szepty, idealne gruchanie, albo też namiętne przekleństwo znajdują najłatwiéj głos w sercach ludzi. Śmiałe, tytaniczne zdobywanie świata wiedzy, jednym głośnym i brzmiącym słowem, rozkazem z wysokości chmur lub z głębi wulkanów rzuconym, działa podobniejak owo wyrażenie Napoleona pod piramidami: „Czterdzieści wieków...

---

wej rozległości; włada głosem świadomie i popiera go akcyją pełną myśli. Pan *Butti*, który grał rolę ojca bohaterki jest kilkudziesięcioletnim weteranem sztuki i do tego stopnia rutynowanym artystą że tę rutynę widać wszędzie... choć zato często głosu niesłychać. Niestety! stary, nawet najlepszy śpiewak niemoże być wart więcéj od starego chociażby arabskiego rumaka. Trzecią główną rolę tej opery: Karol VII śpiewał pan *Oliva di Pavani...* Posiada on bardzo niefortunną akcyją, lecz zato, nieprzewyższa jej.. wartością głosu. Nieszczęśliwa też to rola tego króla: musi się biedaczysko czulić do Joanny d'Arc, chociaż tego historyja niewymaga i chociaż im z tym obojgu nie do twarzy. Lecz inne są widać prawa historyi a inne opery włoskich kompozytorów.

W końcu nadmienić musimy, że chóry wyuczone pewno zbyt spiesznie, śpiewały nader trwożliwie, a orkiestra, chcąc widać to wynagrodzić, grała ze zbyt wielkim animuszem.

* * *

Ciszai powaga cechują pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Wszyscy porzucają zajęcia, sklepy zamknięte, tylko.... szynki otwarte! Mimo zakazu sprzedawania wódki w dni świąteczne do południa, sprzedaż i pijatyka odbywają się w najlepsze, gdyż przy każdym szynku jest drugie wejście. Tym więc sposobem z jednego z większych szynków na Krakowskim Przedmieściu wypędzono o 9-éj rano pijaną kobietę a brama w domu narożnym, napełniona była ludźmi tłoczącemi się do drzwi tylnych szynku. Na ten smutny objaw życia proletaryjatu zwracamy uwagę, w tym przekonaniu że służba porządku zechce ją uwzględnić.

* * *

Z nowości literackich notujemy tu wiadomość, że pan *N. Puszkarew* rossyjski literat przetłómaczył na ten język—gienijalny pod pewnemi względami utwór Słowackiego p. t- *Mazepa*. Tragedyja ta niedługo wyjdzie na widok publiczny w nowej szacie swojej.

* * *

Warszawa stosunkowo do innych wielkich miast najwięcéj może składa ofiar na cele dobroczynne. Mało gdzie znajdujemy tyle różnych zakładów miłosiernych pod różnemi nazwami, a nigdzie zapewnie nie odbywa się tyle loteryj, koncertów, odczytów, amatorskich teatrów, nakoniec różnych kwest i składek.

Zdawaćby się mogło że natomiast publiczność tutejsza uzyska spokój ze strony ulicznego żebractwa, że Dobroczynność uwolni, nas od téj plagi. Tak jednak nie jest i być nie może, bo loicznym następstwem zbytecznego a często niewłaściwie udzielanego wsparcia, jest *rzemiosło żebracze*, do którego próżniacy chętnie się biorą i dobrze na nim wychodzą, bo po większéj części poczciwi Warszawianie pierw idą za głosem serca niż rozumu i zastanowienia.

Tak więc, mimo tylu dobroczynnych zakładów, narażeni jesteśmy na to co było przed ich istnieniem. Trzeba więc temu zaradzić i to stanowczo, bo inaczéj tak exploatowana publiczność, zniechęcić się może, a smutne następstwa dotkliwie poczuć się dadzą w sposób bardzo dla wszystkich bolesny.

Te uwagi przychodziły nam na myśl, gdyśmy stąpali, a raczéj tłoczyli się po oświeconych i wspaniale przystrojonych salach Redutowych, które na cztery dni przeobraziły się w *Bazar dla ubogich*. Sądząc z ilości osób zdawało się, że czysty dochód będzie większy niż roku zeszłego. Tymczasem stało się wbrew oczekiwaniom, a to dla tej proste

ków na was patrzy.“ Większa część nie zrozumiała go, ale.... najmocniéj przekonana była o jego wzniosłości i poszła mężnie na bój krwawy. Krańcowe występowanie w jakimkolwiek kierunku ma tę korzyść czy też wadę, że ludzie lgną do niego, jak żelazo do drugiego żelaza... namagnesowanego. Gdy się zużyje siła magnetyczna, żelaza odpadają od siebie z brzękiem... Zapał jest krótkotrwały; kamień filozoficzny jest mrzonką; panaceum na ludzkie choroby jeszcze nie wynaleziono. Ale krańcowe poglądy wszystko to za rzecz dokonaną uważają, przyciągając ludzi swoją mądrością. Łatwiéj bo rozmarzać niż do rozwagi pobudzać. Piérwsze wymaga swobody myślenia, niczym niekrępowanéj nawet rozsądkiem; drugie hamulców, które grupują myśli około pewnych stałych przedmiotów. Większość ludzi ciągnie za tym, co im łatwiéj przychodzi. Trud w ogóle jest nienawistny, jakkolwiekbyśmy wykazywali jego korzyści. A potym, każdy pragnąłby koniecznie jeszcze za życia swego widziéć urzeczywistnione swoje marzenia; chwyta się więc wszystkiego, co go ku temu zbliżyć obiecuje, nie zastanawiając się nad skutecznością środków. Szczęśliwi, jeżeli ani raz w ciągu swego na ziemi pobytu nie doświadczą smutnéj zawsze próby roszczeń zbyt wielkich, prześcigających skromną miarę możności.

Jesteśmy za najswobodniejszym rozwojem pojęć i stosunków ludzkich; nie możemy więc bezwarunkowo potępiać kierunków krańcowych jakiejkolwiek barwy, tymbardziéj, że, jakeśmy wspomnieli, nie są one bezpłodne. Wiele prawd zdobyto na drodze domysłów, wiele rzeczy dokonano na podstawie namiętności nawet czysto-jednostkowych. Uznajemy potrzebę ruchu zarówno w zakresie myśli jak i w zakresie czynów; tamować go niechcielibyśmy za żadnę cenę. Ze starcia się namiętności wynikają rezultaty bolesne nieraz ale pouczające; ze starcia się urojeń, wykwita prawda smutna ale przekonywająca. To jedynie pragnęliśmy tu zaznaczyć, że ani nauka ani życie praktyczne nie mogą miéć za podstawę czynników krańcowych, do których wogóle tak skłonni jesteśmy. Nauka musi się opierać na zbadaniu rzeczy gruntownie, systematycznie, bez uprzedzeń, bez względu na drobne wymagania osobistości i zachcianki wszechwiedzy. Domysły w niéj ważną odgrywają rolę; są zazwyczaj ognikiem, który wskazać może drogę do istotnego poznania przedmiotu. Nauka niczego nie może twierdzić napewno bez dowodu, wszystkie swoje wnioski motywować musi koniecznie. Potrzeb serca nie gwałci, ale kaprysom stawia opór zacięty; dla namiętności chwilowych przeinaczać prawdy nie powinna. Marzenia fantazyi odsyła do poezyi lub metafizyki, uważając je za bawidełka dla dorosłych dzieci, lub za rodzaj duchowego odpoczynku po znojnym dniu pracy. Przyznaje się do swojéj niewiadomości tam, gdzie nie widzi gruntu rzeczywistego, jeżeli naturalnie nie chce stracić kredytu u ludzi, którzy rozum swoim wodzem ogłosili. Nie przestępuje zuchwale progu tajemniczości, spodziewając się zarazem, że przyjdzie czas, kiedy ten próg nikogo już zastraszać ani rozciekawiać nie będzie, bo zniknie i wyrówna się z resztą ziemi.

Życie społeczne nie może być areną dla popisów frazeologicznych i przytułkiem dla fantastycznych szpitali. Ognie na żyznych łanach wiecznie płonąć nie mogą, bo nie byłoby miejsca na pszenicę i żyto. Wiemy o tym dobrze, że nigdy może dla ludzkości nie zabłyśnie ta błoga chwila, w którejby szczęście jednych nie okupywało się stratą innych; ale to właśnie powinno być dla nas przestrogą, żebyśmy postępowali rozważnie, żebyśmy nie stosowali w życiu krańcowych teoryj, czy to poświęcenia anielskiego, czy też zwierzęcego egoizmu. Zawsze i wszędzie przejmować nas powinna myśl społecznego obowiązku. Nie sądźmy zarozumiale, że z naszym dopiero istnieniem pojawił się ruch i myśli i czynów, który my tylko podtrzymujemy. Na nas nie kończą się jeszcze losy tego świata; nie my jedni powołani zostaliśmy do rozwiązania zagadki jego bytu. Pracą powolną, nie wywieszając jaskrawego szyldu nieomylności i namiętnéj zaciekłości, zdobywajmy grunt prawdy i dobra dla przyszłych pokoleń; — bo „nie to — jak powiada Z. Krasiński — co niewzruszone i zbite jak skała — mądrością na ziemi; ni też co wściekłe i wysadzające skałę w powietrze — natchnieniem i czynem.“

P. Chmielowski.

NAPRZÓD!

Nie ten zna burze, co między wichrami
Na pełnym morzu napotykał gromy—
Nie ten zna walkę, co zbratan z działami
I z hukiem boju znajomy.
Lecz kto bez chleba i bez łzy bratniéj
Przez tłumy ludu—sam—siłą własną
Szedł—i zdobywał w życiowéj matni
Każdy kęs chleba, każdą myśl jasną—
Kto bez promienia rodzinnéj wiary
W otchłań rzucony — przeszedł przez piekło
I niespalony ogniem ofiary
Szedł wciąż—choć szczęście przed nim uciekło...
O! ten zna walkę!.. Bracia! przed nami
Taka dziś droga stoi otworem...
Naprzód!—kto padnie—wspomnim ze łzami;
Kto wytrwa—będzie nam wzorem.
Naprzód! Przed nami świat do zdobycia:
Nadziei tysiąc—zawodów tysiąc...
Lecz nim przebędziem pierwszy próg życia
Piérwéj z nas każdy musi tu przysiądz—
Przysiądz na wszystkie świętości ziemi,
Że póki serce w piersi bić będzie
Do walki życia pójdzie z innemi
I chwałę—siłą zdobędzie!

* * *

My chcemy walki—lecz nie téj krwawéj
Co świat zwierzęcym napełnia wrzaskiem,
Co w liczbie morderstw szuka swéj sławy
I krwawym dumna oklaskiem;
Nie téj—co pośród dzikiéj zamieci
Ogniem i mieczem burzy i straszy;
My chcemy walki—co kraj oświeci
Od piwnic aż do poddaszy.
Co kraj oświeci wiedzy światłością
I w któréj duchy nasze zmężnieją
Walki—dla któréj świat jest miłością
Zimna rozwaga—nadzieją.
Chcemy los własną pokonać dłonią
Walką, wśród któréj wodzem jest stałość
Walką, wśród któréj praca jest bronią
A sprzymierzeńcem wytrwałość.
O! bo pieśń nasza—to nie ta łzawa,
Słodka melodyja niebieskich ptaszyn...
O! bo pieśń nasza—to ludów wrzawa:
Huk młotów i turkot maszyn!
Nasza modlitwa—to nie to mgliste,
Tęskne, za lepszym światem wzdychanie...
Nasza modlitwa—to wiekuiste,
Łączne miłości z wiedzą działanie;

---

przyczyny, iż zbyt towarów był tego roku bardzo słaby. W sklepie np. w którym zeszłego roku sprzedano towarów blisko za 500 rubli, obecnie utargowano zaledwie 75 rsr. Ten nieszczęśliwy wyraz *naddatek*, odstręcza średnią i uboższą klasę od kupienia czegokolwiek, a widok dam kwestujących czy też sprzedających jest postrachem dla szczupłych kieszeni. Większość więc przyszła popatrzeć, cząstka wybranych zabawiała się w kupców. Dochód wprawdzie był większy dla saméj Dobroczynności, bo Przytulisko nie brało udziału w Bazarze tegorocznym; wszyscy więc byli dosyć zadowolnieni oprócz.... kupców. Zeszłego roku dano im sklepy darmo, teraz każdy musiał kilkanaście rubli za zbudowanie swego oddziału zapłacić. Ponieważ zaś niewiele sprzedali a procent dość znaczny ofiarowali, przeto większość straciła i na czasie i na towarach. Dodajmy do tego, że ci sami kupcy są oblegani w każdy piątek przez bandy żebraków, *urzędowo* w ten dzień przychodzących. Jest to ciemna strona owego Bazaru, którą wykazujemy nie dla szykany, lecz dla przekonania się, że w ten sposób organizowana sprzedaż towarów na korzyść ubogich, mało daje widoków na przyszłość do uzyskania większych dochodów.

* * *

Dowiadujemy się z pewnego źródła, że tłomaczenie kroniki *Marcina Galla* zostało oddane do druku.

Najdawniejszy z naszych kronikarzy oczekiwał istotnie na tłomacza, któryby trzymając się pilnie zasad, dobrego przekładu, przelał go wiernie na język polski. Próba uczyniona w tym względzie, sposobem przeróbki, w r. 1821 przez Hipolita *Kownackiego*, pod napisem: *Historyja Bolesława III*, nie odwzorowuje nam Galla. Ani to bowiem jest całość pewna—gdyż Kownacki nie poczuwając się na siłach do spolszczenia miejsc bardzo wielu, zostawia je w języku łacińskim — ani przerobienie nawet nie odbywa się podług tekstu poprawnego: owszem to wszystko, czego dojrzalsza krytyka zaprzecza, pod względem wiarogodności niektórym rękopismom, u niego za dobrą monetę uchodzi! *Bielowski* w życiorysie Galla na czele przed tekstem swych *Pomników dziejowych* położonym, wyliczając rozmaite wydania kroniki Galla, przerobienie dokonane przez Kownackiego, przemilcza, jakby nigdy nie istniało. Przed kilku laty, przekład tejże kroniki przez Michała *Gliszczyńskiego* przerwany został na 1-éj księdze: ale i w tym, nie widać tak ścisłego wyrozumienia przedmiotu przez tłomacza, aby próbka znajoma mogła dostatecznie odpowiedzieć zadaniu.

Po nowo podjętym przekładzie przez znajomego tłomacza *kroniki Dytmara* i prac innych można się spodziewać, iż, rozpatrzywszy się naprzód uważnie w próbach swych poprzedników będzie się starał pójść drogą odpowiedniejszą wymaganiom krytyki. Tłomacz, p: Komarnicki, prócz przejęcia się pierwowzorem co do ducha i właściwości języka — powinien przedewszystkim wyświetlić stanowisko samego Galla, jako historyka, który, pomimo wszelkich stron ujemnych, wykryć się mogących w jego kronice nie przestanie być przewodnikiem, niekiedy prawie, co do swej epoki, jedynym, tak, iż przez usunięcie go chybabyśmy się skazywali dobrowolnie na błądzenie w ciemnościach, pod względem wielu spraw politycznych, jak niemniej, pod względem życia, wewnętrznego. Stawiony z nim w przeciwieństwie kronikarz saski *Dytmar*, chyba na żart mógłby przez kogoś być uważany za jedynego dawcę pewników w dziejowości społecznej. Poglądem takim krytycznym, p. K. poprzedza na wstępie swój przekład, prócz komentarza dość obszernego, wynoszącego około półtorasta przepisów, poświęconego objaśnieniom ważnych szczegółów kroniki. Jeżeli nie co inne-

To myśl, co tętni w ludzkości sercu
I nad znikome dzieje ulata;
To głos, co w bliskim i w różnowiercu
Szuka człowieka, ducha i brata.

* * *

Więc nim się krótki sen życia prześni,
Nim drogę trudów przebędziem śliską,
Chowajmy w duszy dźwięk bratniéj pieśni
I bratnich uczuć ognisko.
A gdy czas, śpieszmy zagrzani wiedzą
Sokolim lotem do pragnień szczytu—
Niech o nas przyszłe wieki powiedzą
Żeśmy zbliżyli promienie świtu,
Żeśmy nad ludów wzburzone fale
Łódź naszych losów kierując myślą
Wznieśli i wiedli dłonią wytrwale
Tam—skąd nam pomoc milijony przyślą,
Tam—skąd w oddali ponad głów tłumem
Na wielkim drzewcu z wszechwiedzy drzewa,
Okryty chwałą—z tajemnym szumem
Sztandar postępu powiewa...
Lecz nim go nasze dłonie pochwycą
I zatkną w górze u snów zenitu,
Bądźmy dla wspomnień—złotą skarbnicą,
Dla gromów—skałą granitu!

W dzień Bożego Narodzenia 1872 r. *Julijan Mohort.*

HRABINA ELODYJA.

HRABINA ELODYJA.

Maryi Szeligi.

(Ciąg dalszy).

Hrabia Władysław myślą przebiegł swego życia koleje—a wspomnienia znać nie miłe nie upiękniły mu lica. I widział się najprzód młodym chłopcem w salonach hrabiowskich — ojciec, starzec przedwcześnie zdziecinniały — matka uróżowana elegantka, niegdyś piękna Lola, baletniczka—zawracająca wszystkim głowy, aż udało jej się schwytać hrabiowską koronę o siedmiu pałkach.—Ojciec konał powoli, matka wdzięczyła się pomalowaną twarzą do resztek wielbicieli..... dziecię pieszczone psute,—rosło—oddychając niezdrową atmosferą. Potym—śmierć ojca—wyjazd do Paryża — przesunęły się przed oczami hrabiego niby mgła wonna, różowa a w niej migały—obraz balików przyjacielskich, szalonych orgii, cynicznych zabaw — źrenice jego błyszczały przykrym namiętności blaskiem. — Przeszło.... nastąpiła ruina majątku, powrót do kraju, i rehabilitacyja.... Na twarzy Władysława, dwie plamy gorączkowego rumieńca wystąpiły i znikły. Zamknął oczy—a jednak jeszcze wyraźniej widział swój dom wielki, ocalony z resztek majątku—pracę wywołaną koniecznością, potem zamiłowaniem—i zamajaczyła wdzięczna łagodna postać kobieca, ciche życie rodzinne. Hrabia nagle zerwał się z krzesła i przebiegł kilka razy pokój w największym wzburzeniu.—Nie chciał dalej rozwijać tych wspomnień. Powrócił na miejsce, i późniejsze wywołał obrazy. Wśród gwaru miasta, otoczenia salonowego, dni biegły szybko. — Młody hrabia z melancholijnym, nieco namiętnym wejrzeniem,—o którym mówiono po cichu, że przeszłość jego była bardzo awanturnicza, ale błyszcząca — był bóstwem i wyrocznią najwięcej eleganckich kobiet stolicy. Na czwartym palcu lewej ręki hrabiego, był ślad jakby długo noszonej obrączki. Szeptano często, że młody hrabia ma żonę, z którą się rozwiódł—jednak widziano go wolnym, pięknym, i na drodze do zrobienia fortuny.—Tymczasem wydawał wiele—olśniewał urodą—i przeżył lat dziesięć żywo i swobodnie.—Nie było modnej piękności, aby obok jej nazwiska nie powtarzano nazwiska Władysława.—Uwielbiano go, kochano. — Hrabia machinalnie wyjął ze skrytki biurka pysznie oprawne album. Dwadzieścia pięć czarujących kobiét uśmiechało się do niego kolejno z minijatur lub fotografij.—Każda nowe przywołała wspomnienie — każda grała jakąś rolę w jego życiu, dłużej lub krócej.—Władysław krzywił usta szyderczo, patrząc na te piękne w wyzywających pozach postaci. Nad ostatnią kartką zatrzymał się długo.—Kobiéta zachwycająca, powabna, ubrana jak bogini, zdawała się patrzyć nań ślicznemi oczyma.

— Matka Elodyi!.... ha! przeklęta pamięć—szepnął rzucając album z niechęcią.

I znów wrócił do rzeczywistości—ujrzał się mężem ubóstwionej Djoli — bogatym—swobodnym. — Czemuż cierpienie twarz przeciągnęło!.. Ha! bo przejrzawszy całe życie, hrabia uczuł jego nicość i ciemnotę.

— Głupie życie!—rzekł głucho—ten młody szaleniec rozdrażnił mnie swoją mową!—on sądzi, że ja nigdy nie czułem tego, co w jego głowie się marzy!...

— Ha! ha!—zaśmiał się gorzko — byłem wtedy szalony jak on—ale szczęśliwy!—dodał po cichu. — A! to śmieszne doprawdy!—nie wiedziałem, że potrafię być tak dziecinny! — czegóż mam żałować?... jestem panem!—bogaczem!... zazdroszczą mi przecież!—Czego mi brak?—miłości Elodyi?.. wszak jestem jej mężem!

Ha!... wyszepnął—brak mi szczęścia!.. żal zmarnowanego życia i młodości!...

Po licu jego stoczyła się gorzka samotna łza.

Nagle roześmiał się znowu!

— Ja sam jestem dzieckiem i powinienem pić kwiat pomarańczowy!—cóż za skrupuły!... Nerwy — i nic więcej! — marzenia i egzaltacyja.

I śmiejąc się ciągle, schował album drżącemi rękami, poprawił fryzurę — wypił sodowej wody z sokiem — i położył się na wykwintnym łóżku.

Ktoby jednak był w bliskości sypialnego pokoju *jaśnie pana*, byłby słyszał jakieś niewyraźne jęki i westchnienia bardzo ciężkie i żałosne.

— Zapewne hrabiego Władysława trapił jakiś sen niemiły tej nocy. — Bo czyż taki wielki pan mógłby mieć troski?

Te słowa wyrzekł młody lokaj, sypiający w przyległym pokoju, do towarzyszów w kredensie — wszyscy kiwnęli głowami na znak potwierdzenia; jeden tylko Michel rozśmiał się w kułak i ruszył ramionami

— Głupia chłopa! —mruknął do siebie.—Chez nous, á Paris, on est plus sage.—Dieu merci!

— Jakże się miewa dzisiaj hrabina Elodyja?—zapytał nazajutrz Władysław, wchodząc z pogodną, tylko nieco bladą twarzą do jadalnej sali na śniadanie.

— Dobrze! dzień dobry ci Władysławie!—odparła Djola.

— I nie gniewasz się już?

— O co? rzekła z uśmiechem zdziwienia.

— Zapomniane?...

— Zupełnie!—lecz o czym mowa? — nie wiem!

— Tym lepiej! — moja pani ma tyle kaprysów, że spamiętać ich nie można!—Byłaś u Emmy?

---

go przemawia na korzyść pracy p. Komarnickiego, to przynajmnij podjęcie jej z zamiłowania i dokonywanie z wieloletnią usilnością.

* * *

Czytamy w Kaliszaninie:

— Przed laty kilkunastu raczył nawiedzić Kalisz pewien księgarski kolporter niemiecki. Rozsprzedawał on o ile przypominamy sobie, bilety prenumeracyjne na jakieś illustrowane niemieckie opisy Szwajcaryi, Włoch, Francyi i innych cząstek bożego świata. Premijowe ryciny wielkich formatów miały uwieńczyć te tanie na pozór wydawnictwa. Któżby się nie złakomił na taką wędkę kochając naukę, gdy pieniędzy miał w kieszeni zbyt mało, a chęci ich wydawania zbyt wiele?! gdy wreszcie był młodym, nieświadomym, nietylko spekulacyjnych usposobień indywidualnych, a cóż dopiero plemiennych — gdy wreszcie, jak to u nas mówią — miał jeszcze żółto w dzióbku?! Zapłaciliśmy więc całą prenumeratę Niemcowi, kłaniającemu się bez końca—radzi, iż mamy *tani* nabytek *cywilizatorów świata*. Po otrzymaniu z rąk kolportera 1-go poszytu, wyczekiwaliśmy następnych i premij. Niewiemy, czy i inni — ale my przynajmniéj wyczekujemy dotąd na 2-gi poszyt tego dzieła i na owo premijum; nie pamiętamy (bo lat temu przecież więcej niż półtora męda), czy czekamy jeszcze na płaczącą Gretchen, czy na kuszącego ją Mefistofela. Ze słowiańską więc naturą, zrzekliśmy się już nawet drugiego i dalszych poszytów premij...., bo to za długie wydawnictwo na zakres ludzkiego życia. Obecnie, jak słyszeliśmy, plącze się podobno w mieście naszym jakiś propagator illustrowanych i nie illustrowanych płodów rozumu germańskiego. Baczność!... niech wędruje z czym przyszedł. My, jesteśmy zabiedni, a nawet jest nam nie do twarzy, aby popierać słowiańskim groszem „Posener Zeitungi" „Vater-landy, " „Ueber-landy," etc., etc., etc., i jeszcze raz etc. Niemiecka ojczyzna ma tyle miliardów — i tyle nie powiemy już narodowej dumy, ale tyle anti-słowiańskiej pychy, że nie powinno być u nas miejsca dla żadnych pism, które ze szkodą pism krajowych i wogóle słowiańskich, trzymaćbyśmy mogli. Ani rosyjanin ani polak o pięć mil stąd nie zobaczy już żadnego słowiańskiego organu. To nam powinno wystarczyć do pokazania drzwi czelnym przybłędom, jakoby cywilizacyi (?), do której się nikt z nas nie garnie, nikt jéj nie pragnie i (przynajmniej ze słowian) szczerym sercem niepożąda. Cywilizacyja społeczeństw nie leży ani w czelności, ani we fałszu, ani w pięści. Kto sobie takie (jak teraz giermanizm) drogi obrał, ten się omylił bardzo.... Utonie, nim dosięgnie drugiego brzegu. Lecz wracamy do przedmiotu. Po obecnym kierunku tej niby cywilizacyi, wszystkiego spodziewać się można: a więc nawet tego, że może wałęsający się rozprzedawca pism niemieckich zbiera z nich rabat mający posłużyć na wspaniały, *zgodny z historyją* i niesłychanie szlachetny cel dowiedzenia światu i dziejom, że *Kopernik był Niemcem.* Kto zatem łaskaw i kto poważa *postęp*, niech się spieszy z prenumeratą *tanich* edycyj, które w rezultacie, jeśli nie kieszeń, to rumieniec wstydu kosztować go mogą. Dla słowianina tylko słowiańskie punkta oparcia są pewne i niezawodne; kto z nas chce na cudzym próchnie byt swój utrwalać, ten się gorzko zawieść może; bo w dziwactwie tajemnic życia to jest szczególnym że co dla jednych próchno w złoto przetwarza, to dla drugich złoto—w próchno zamienia. Jest istotna alchemija bytu.... teoryja tej nauki wyśmiana, ale rzecz wpraktyce została; tę alchemiję zanotuje kiedyś historyja w porównaniu działań plemienia giermańskiego — z pięknym licznym i szlachetnym — ale mniej może niż wypada, oględnym plemieniem słowiańskim. Nakoniec dodamy, że gorszy nas pewna firma księgarska w Warszawie, wpychająca na pozór tanie „Welty," „Hansy" itp. I spekulacyja winna mieć poczucie godności; a taka, nie wiemy: czy je ma?

— Nie!

— Taka obojętność jest dowodem braku przywiązania!

— Dajże mi pokój!

— Nie kochając mię, nie kochasz dziecka mego! — jesteś złą matką dla biednej istotki, która ci nic nie zawiniła! — mówił dalej hrabia nie mogąc pohamować uniesienia.

Usługujący do śniadania Michel spojrzał ukradkiem na swego pana—i niechcący oczy ich zetknęły się. — Hrabia drgnął i krzyknął.

— Idź do djabła!

Elodyja spojrzała nań z przestrachem—lokaj wyszedł.

Władysław siedział na krześle wzburzony.—Złowrogie milczenie przerwało w porę wejście Emanuela, który z obliczem jasnym i spokojnym, ukłonił się im i rzekł:

— Przepraszam bardzo za moje natręctwo—ale Michel powiedział mi, że można wejść.

— Owszem — siadaj pan! — powiedział grzecznie hrabia, uradowany z obrotu rzeczy.

— Pragnąłbym zacząć moję pracę. Klucz od biblijoteki podobno u pana hrabiego—wraz z katalogiem—przyszedłem więc prosić o jedno i drugie!

— Panu tak pilno do pracy?

— Istotnie! — tęskno mi bez niej,—to moja towarzyszka od lat dziecinnych, — nie mógłbym żyć bez niej!

— Korzystna zasada! — Będę panu towarzyszył, jak tylko skończę śniadanie!

Emanuel powstał i niezatrzymany, powrócił do swego mieszkania.

— Jakże ci się podoba ten młody człowiek?—spytał zimno i spokojnie hrabia milczącej Elodyi. *(C. d. n.)*

O WYKSZTAŁCENIU W DZIECIACH POCZUCIA PRAWA.

Prawo stanowi jednę z kardynalnych podstaw społeczeństwa. Bez niego społeczeństwo zamieniłoby się w bezładną mieszaninę, którą Hobbes doskonale określił słowami: „bellum omnium contra omnes" [1]. Prawo daje człowiekowi możność wszechstronnego działania, swobodnego rozwoju i używania sił i rozporządzania mieniem swoim. Dzieje się to na drodze *wzajemnego* poszanowania swobody i praw wszystkich osób w społeczeństwie.

Stąd widzimy, że każda jednostka, korzystając z opieki prawa, ma zarazem obowiązek nienaruszania praw innych jednostek. „Nie czyń drugiemu tego, czego nie chcesz, aby tobie czyniono." Czy w rzeczywistości jednak prawo i obowiązek zawsze w parze chodzą? Na to musimy odpowiedzieć przecząco, o ile bowiem człowiek dba troskliwie o utrzymanie należnych sobie praw i oburza się za najmniejszym naruszeniem takowych, o tyle znowu opieszałym jest w wypełnianiu obowiązków stąd dla niego wypływających—a właśnie od stopnia równowagi między prawem i obowiązkiem zależy pomyślność i dobrobyt społeczeństwa.

Uwagi te skłaniają nas do pogawędki z czytelnikami w przedmiocie wykształcenia w dzieciach poczucia prawa.

Dziecko, będąc na wszystko wrażliwym, dotkliwiéj też niż kto inny czuje pogwałcenie prawa i bardziéj na wyrządzoną sobie krzywdę się oburza. Gdy je od stołu oddalić lub z pokoju wypchnąć usiłujemy, wówczas rękami i nogami broni się przeciwko nadużyciu, zupełnie tak samo, jak gdyby mu usiłowano z ust wyrwać jabłko, które spożywa, lub cacko, którym się bawi.

[1] Wojna wszystkich przeciwko wszystkim.

Jeżeli ktoś przyrzeka dziecku pójść z nim na przechadzkę, po pilnym zajmowaniu się przez taki a taki czas lekcyjami, a pomimo to pozostawi je w domu i sam pójdzie; obaczycie wtedy na licu dziecka żal i oburzenie z powodu bezprawia, jakiego się wbrew wyraźnemu zobowiązaniu i z lekceważeniem osoby jego dopuszczono.

Krzyk dziecka do kąta zapędzonego—jęki które po nielitościwéj chłoście wydaje, dowodzą może nie tyle bólu fizycznego, ile raczéj dumy obrażonéj, nieposzanowania jego osobistości, wołania o sprawiedliwość.

Ślady wyrządzonéj dziecku krzywdy niczym się zatrzéć nie dadzą. Pewien człowiek w wieku opowiadał, że od chwili, kiedy go matka surowo skarciła za upór, źle przez nią zrozumiany, od owej chwili (a miał wówczas lat 4) wciąż matkę swą za niesprawiedliwą poczytuje.

Dziecko nie będąc w stanie uogólniać sobie zjawisk, nie rozdzielając faktu od pobudek, bardzo często, przy swym wcześnie pojawiającym się, ale nieokreślonym jeszcze *poczuciu prawa*, naruszenie jego, jakkolwiek pozorne ze względu na pobudki, za sam fakt pogwałcenia prawa uważa. I tak: dziecko, które przez żart łajemy albo też lekko, choćby po rączkach bijemy, w najlepsze płakać zaczyna.

Pani Necker de Saussure [1]) mówi o dziewczynce półtora roku mającéj, która za każdą razą płakała, jak tylko ktoś z obcych ludzi na przechadzce dotknął się kosza, który bona jéj w ręku trzymała. Taż sama dziewczynka straszliwie krzyczeć zaczęła, kiedy, siedząc pewnego razu na progu domu, spostrzegła obcą kobietę wynoszącą stamtąd suknią jéj matki. Od owego czasu wciąż czuła jakiś niepokój na widok obcych w ich domu osób i nie mogła ukryć zadowolnienia, kiedy te z próżnemi rękoma takowy opuściły.

Z drugiéj strony i egoizm bardzo wcześnie w dziecku dojrzewa i nieraz do takich rozmiarów dochodzi, że przytłumia w nim poczucie prawa. Jakoż to samo dziecko, które rękami i nogami uderza usiłującego mu odebrać cacko, to samo dziecko nie robi sobie żadnego skrupułu z tego, by korzystać ze sposobności tajemnego pochwycenia zabawek swoich rówieśników.

Chcąc w dziecku wykształcić poczucie prawa, innemi słowami: wdrożyć w jego umysł młodociany pojęcie o prawach i obowiązkach, które to ostatnie rozciągnąć się niekiedy winny aż do zrzeczenia się własnego swego prawa na korzyść innych osób, chcąc powtarzamy tego dokonać, musimy przedewszystkim, tak w rodzinie jak i w szkole, słowem wszędzie być dla niego przykładem prawości, inaczej skądinąd najlepsze chęci na niczym spełzną.

Już w dziecku winniśmy uszanować człowieka, gotującego się w przyszłości do życia samodzielnego. Nie wolno używać go wyłącznie jako środka do dopięcia swych celów, ani też obchodzić się z nim jak z pieścidełkiem. Zbytnia surowość zarówno jak i nadmierna przychylność są szkodliwe.

Faktem jest, że rodzice zwykle bardziéj się przywiązują do młodszych dzieci. Zjawisko to jednak, choć samo w sobie naturalne i wypływające z potrzeby czulszéj opieki nad dziećmi niedorosłemi, nie powinno się zamienić w stronność ani też łączyć się z zupełnym zaniedbaniem starszych dzieci. Kary zarówno jak i nagrody winny być podług jednakowych zasad do dzieci zastosowywane; żadne z nich nie może dopominać się nagrody jako prawa, przeciwnie, należy je przekonać o zależności jego od rodziców i niemożności samodzielnego zapracowania na siebie. Dziecko na téj drodze nabierze zarazem przeświadczenia o dobroci i łaskawości rodziców.

[1]) L'éducation progressive, t. 1 ks. III.

Wyrywanie starszemu dziecku zabawki (co się często przytrafia, aby nią uspokoić młodsze) jest pogwałceniem prawa własności. Przeciwnie, rodzice sami winni ze siebie dać przykład poszanowania tego prawa, prosząc dziecko np. o pożyczenie cacka, które po oznaczonym czasie należy bezzwłocznie zwrócić. Takie obejście się z dziećmi skłoni je do podobnegoż postępowania względem rodzeństwa i ludzi obcych i powoli przyzwyczai do zrobienia nawet ofiary z własnego swego prawa.

Niepodobna *zmuszać* dziecka by z prawa swego uczyniło ofiarę, nawet tam, gdzie obstawanie przy prawie nie zgadzałoby się z zasadą miłości. I tak: przypuszczamy, że przedmiot obiecany jednemu dziecku byłby prawdziwym dobrodziejstwem dla innego, przynosząc mu ulgę w boleści lub pociechę w smutku; otoż nawet w tym wypadku niepodobna zmuszać dziecka do odstąpienia swego prawa. Przeciwnie, pozostawiwszy je nietkniętym, należy odpowiednim przedstawieniem wszystkich okoliczności tak dotkliwie mu dać uczuć niewłaściwość podobnego postępowania, aż wreszcie samo przestanie obstawać przy swoim prawie i nawet czuć się będzie zadowolonym gdy zrozumie, że czyn jego jest karygodnym w obec miłości bliźniego.

Między innemi, niezbędnym jest przypomnieć dziecku, że i ono mogłoby również znajdować się w położeniu wyczekującym dobrodziejstwa od innych osób i z jaką boleścią musiałoby wówczas znosić skutki podobnego postępowania.

Pewien powieściopisarz, którego nazwisko z pamięci mi wyszło, oburzał się na matkę, która dziś wrzucała dzieciom do skarbonki pieniądze, aby je nazajutrz wbrew woli ich wyjmować i ofiarować na cele pobożne. Niesprawiedliwość taka niweczy najzupełniéj wpływ, jakiby podobny uczynek miłosierny wywierać powinien.

Jesteśmy przekonani, że dziecko samo pośpieszyłoby chętnie z ofiarą, gdyby mu tylko dowiedziono, ile radości przysporzy w skutek tego biednéj rodzinie—ile łez jéj otrze.

W rodzinie konsekwentne przeprowadzenie idei prawa i bezwarunkowe zastosowywanie onego, napotyka często trudności z powodu charakteru, jaki nosi na sobie stosunek rodziców do dzieci. W szkole trudność ta ustaje i jeżeli w rodzinie pierwiastkiem górującym nad wszystkie inne, jest miłość—tu prawo nim być winno.

Równość w obliczu prawa, bez względu na stan, zamożność, zdolności i inne przymioty dzieci, musi być sztandarem każdéj szkoły. Pamiętać jéj należy, że jeden krok tylko dzieli ją od życia publicznego, które od wychowańców jéj żąda bezwarunkowego poszanowania prawa.

Nauczyciele dziś zbyt surowi, jutro znów pobłażliwi — tacy, którzy jednym sprzyjają, drugich nie cierpią i przy lada jakiéj sposobności ich karcą—zapaleńcy, którzy w uniesieniu, nie umiejąc panować nad sobą, zapominają o stosunku kary do winy, któréj się dziecko dopuściło; — głupcy, co w nazwisku ucznia upatrują wysoko-postawionego lub urodzonego papę—niedołężni, którzy, nie będąc w stanie ocenić pracowitości dziecka, karcą je za brak zdolności; — ci wszyscy postępując sami nielegalnie, nietylko że nie wykształcą w wychowańcach poczucia prawa, ale nadto na przytłumienie jego wpłyną.

Żeby w dziecku wykształcić poczucie prawa, trzeba je samemu posiadać.

Pani Necker (w m. c.) mówiąc o szkole w Spitalfields w Anglii, powiada, że młodzi jéj wychowańcy nigdy nie tknęli owoców w ogrodzie, dodając, że mieli oni przed sobą ze

strony nauczycieli przykłady rzadkiéj prawości.

Wykształcenie w dziecku poczucia prawa napotyka ogromne trudności w skutek wpływu pośredniego, jaki w tym względzie wywiera całe otoczenie dziecka. Ciągły widok postępków niesprawiedliwych lub srogich—oszustwa i niewyrozumiałości względem podwładnych i t. p. przytępia w dziecku pojęcie bezprawia.

Dzieci doskonale uważają, kiedy w otoczeniu ich rzecz rozstrzyga się między prawem a bezprawiem i postępowanie nasze w téj mierze, dla tego właśnie, że pozbawione jest tego charakteru bezpośredniości odnośnie do dziecka, tém większy na nie wpływ wywiera.

Kończąc pogawędkę niniejszą, jeszcze raz należy zwrócić uwagę tych wszystkich, którym wychowanie dzieci naszych w udziale się dostało, aby nie lekceważyli tego świętego obowiązku i pamiętali: że od stopnia i rozprzestrzenienia poczucia prawa w narodzie, zależy jego pomyślność i dobrobyt.

D. Lich.....

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

I.

Teod. Tom. Jeż.

Kilkakrotnie kładliśmy już nacisk zarówno na zbyt wielką przewagę beletrystyki w naszej literaturze, z pominięciem studyjów naukowych, jak i na zbyt wielkie zamiłowanie czytelników w takim właśnie umysłowym pokarmie. Rzecz naturalna, że słowom naszym, czy je kto nazwie wskazówką czy kazaniem, nie mogliśmy przypisywać takiej potęgi, ażeby odrazu w przeciągu jednej chwili prąd ogólny zwrócił się w stronę przeciwną. Wiemy bowiem bardzo dobrze, że nie tylko u nas, ale i wszędzie zagranicą, powieść w cyfrze ogólnej produkcyi literackiej stanowi rubrykę najobfitszą, a czytelnicy jéj liczą się na masy. Fakt ten, w każdym razie niezmiernie ważny, jedni starają się wytłomaczyć uwagą, że „chwila obecna (jak się wyraża p. Kraszewski) jest *momentem przełomu*", „że *nowe czytelników koła* wchodzą właśnie przez tę propedeutykę (tj. powieść) do czytelni, z której późniéj i poważniejszego zażądają pokarmu". Inni znowu, nie ograniczając znaczenia powieści do *chwili obecnej*, usiłują wynaleść w duszy ludzkiej tak silne motywa, które do pisania i czytania utworów powieściowych znaglają, że pojawienie się ich zupełnie naturalnym wydawać się musi. Motywami temi ma być popęd do wiedzy łatwo nabywanej i chęć rozszerzenia zakresu doświadczeń życiowych. Powieść dla każdego najmniej nawet ukształconego przystępna jest co do swej treści; zajmuje się pospolicie kwestyją, która w największej liczbie ludzi wzbudza pewne zaciekawienie a częstokroć stanowi najważniejszy przedmiot rozmyślań — kwestyją miłości i małżeństwa. Na wspomnienie słów miłosnych drży serce i człowiek albo uśmiecha się radośnie albo żalem wybucha. Piękne panie zwłaszcza, których cała działalność, cała strona czynna duchowego życia obraca się zazwyczaj w zaczarowanym kole, zakreślonym tęczową strzałką Erosa, hołdują czytelnictwu, w którym bohaterowie i bohaterki w zupełnej harmonii z ich sposobem myślenia pozostają. Harmonija taka dźwięcznemi i miłemi odzywa się akordami!...

Bądźcobądź ponieważ faktu zaznaczonego powyżej usunąć niepodobna, liczyć się z nim należy sumienie i otwarcie. Obowiązkiem bowiem każdego dbającego o literaturę jest: przedstawiać dobre, silne strony najbujniejszej jéj gałęzi, ażeby je uwydatnić i rozpowszechnić; — odsłaniać słabe, niedołężne, ażeby pobudzić piszących do zapełnienia braków i usunięcia błędów lub usterków..... Potrzeba poprostu obliczyć siły, jakie posiada dane społeczeństwo w pewnej oznaczonej sferze swojej działalności. Warto przytym zauważyć, że produkcyja czysto-krajowa nie wystarcza dla masy czytelników, nie zaspakaja ich wymagań. Bezwarunkowo zawsze *połowę* ogólnej sumy płodów powieściowych, a niekiedy *dwie trzecie*, sprowadzają u nas z zagranicy. W roku np. 1871 (jak już zaznaczyliśmy w Opiekunie) na ogólną cyfrę powieści 69, które w Warszawie wydrukowano, wypada *36 tłomaczonych* a *33 oryginalnych*; w latach poprzednich stosunek ten daleko gorzej się przedstawiał. Z tej naglącej potrzeby zapełnienia luk, jakie produkcyja krajowa pozostawia, wynika wielki uszczerbek dla literatury: na przekłady biorą się utwory bez żadnego prawie wyboru. Zupełnie inaczej rzecz by się miała, gdyby dzieła talentów rodzimych zaspakajały najgłówniejsze wymagania: wówczas przekładanoby z języków obcych takie tylko powieści, których umysłowość nasza wytworzyć niezdolna czy to z powodu narodowego charakteru, czy też mniej przyjaznych okoliczności; wówczas literatura nasza *wzbogacałaby się* tłomaczeniami, gdy dzisiaj tylko *się zapełnia*. Odpowiedź na ten zarzut brzmiećby zapewne mogła w sposób następujący: powieść dzisiejsza w całej Europie wogóle zmalała, nie budzi już tego interesu, ani posiada téj wartości, jaką miała przed kilku lat dziesiątkami. „Powieść, powiada wytworny krytyk p. Stanisław Tarnowski — jest dziś jak te państwa, które wydają się na szczycie potęgi, imponują ogromem, a wewnątrz piérwiastek życia wysilony, omdlewający; i piérwsza burza rozłoży, obali to, co zdaje się niewzruszonym i wiecznotrwałym. Piérwiastek życia romansu zdaje się być wysilonym w całej Europie".[1]) Odpowiedź taka atoli byłaby raczej popisem retorycznym aniżeli sumiennym wykazaniem prawdy; gdyż mamy przykłady żywotności romansu mianowicie w literaturze angielskiej i niemieckiej. W każdym razie czujemy się w obowiązku zbadać żywotność naszego własnego romansopisarstwa z czasów najnowszych, ażeby wskazać właściwą drogę postępowania na przyszłość. Nie chcąc jednakże podawać ogólników, na indywidualnym naszym sądzie opartych, postaramy się w szeregu artykułów zapoznać bliżej z talentami i talencikami, ażeby czytelnicy mogli sobie sami wyrobić zdanie; zastrzegając przecież ogólne końcowe streszczenie—zsumowanie niejako rezultatów, jakie z pojedyńczych rozbiorów wypadną. Zaczęcie nam zapewne należało od twórcy właściwego romansu obyczajowego u nas — od p. J. I. Kraszewskiego. Zbyt atoli długa była jego działalność, ażeby w krótkim szkicu należycie ją ocenić a powtóre zbyt dobrze znane są publiczności jego zasługi, ażebyśmy je *ogólnikowo* przypominać chcieli. Umotywowawszy w ten sposób pominięcie najznakomitszego w każdym razie żyjących powieściopisarzów naszych, przystępujemy do bliższego określenia charakteru i kierunku utworów Teodora Tomasza Jeża.

Nieprzyjaciel niezdarnej „klejonki z błędnych zasad, z wyobrażeń o pół-cnotach, i z pseudo-uczuć poświęcenia",—jest przedewszystkim Jeż zwolenikiem prawdy w życiu i w literaturze. Marzenia próżne i bezowocne pożegnał nazawsze, wspomnienia dziejowe rozświetlił sobie pochodnią ściślej krytyki, złagodzonej jedynie wdzięcznością za prawdy, których się stał spadkobiercą; rzeczywistość ukochał taką, jaką jest, pragnąc tylko ulepszać to, co w jego mocy. Nie cierpi tych, którzy pisanemi morałami rozwiązać usiłują zadania społeczne, używając morałów „w rodzaju deszczochronów, mających społeczność od ulewy zła zabezpieczyć", — którzy wzięli sobie za zadanie, „jeżeli nie rozwiązać, to przynajmniej *rozdeklamować* to arcyważne pytanie". Dla poprawienia ludzi, dla wskazania im wyższych, podnioślejszych celów potrzeba żywego przykładu a co najmniej żywego obrazu, któryby nie był wydmuchaną bańką mydlaną, ale pochwyceniem jednej z chwil życia ważnych i do zastanowienia skłaniających. Ale by tego dokonać, nie należy płakać, rozczulać się, boleć i biadać — sąto niedołężne piski owcze, które nikogo nie wzruszą i nikomu nie pomogą. Do siły, do wyrobienia w sobie hartu woli i energii charakteru zachęcajmy ludzi. Uprawa czułostkowości, bujnie u nas rozrosłej, do tego nigdy nie doprowadzi. Jeż zjadliwie i ostro charakteryzuje jednego z głośnych swojego czasu przedstawicieli podobnego *credo* społecznego. „Jest on wyznawcą—powiada—stałego ale spokojnego uczucia, szemrzącego zawsze jednakowo jak strumyk—i jak strumyk płynącego wśród *kwiatków*, *motylków*, takim *korytkiem*, jakim mu Opatrzność płynąć kazała. Wszelkie naprawo albo nalewo zmiany owego *korytka*, nazywa bezwzględnie wyrokiem Opatrzności, zgóry je uznaje i radzi zastosować się do nich.... z rezygnacyją".... Nie w czułostkowości jałowej znajdziemy źródło ożywcze dla społeczeństwa; lecz w miłości prawdziwej, wytrwałej, opierającej się na przejęciu się jego dążnością, jego celami, na rozumnym zapoznaniu się z szerokością i głębią jego zadań. Tutaj szkodliwa jest zarówno bezmyślna apatyja jak i zarozumiałe samochwalstwo. „Pisma nasze publiczne—powiada Jeż — notują skrzętnie wszystko, cokolwiek cudzoziemcy na chwałę Polaków piszą, nazywają to: oddaniem sprawiedliwości, — nagany zaś okrutnie je obrażają. Z faktów jednakże sądząc, musimy być bardzo ułomni, musimy na nagany —i wielkie zasługiwać".

Poznanie własnych błędów, własnej słabości jest piérwszym krokiem na drodze postępu. Potrzeba się potym przejąć miłością tego, co piękne i zacne. Jeż potępia marzycielstwo, uniemożebniające działanie i czułostkowość, nie cierpiącą żadnej zmiany: ale gorąco przemawia za potrzebą miłości. Nie lubi się on rozpisywać nad tym przedmiotem; miłość w jego powieściach, jeżeli nie jest pochwycona ze strony satyrycznej—gra rolę niewielką; z zachwytami i poetycznemi peryfrazami spotkać się u niego dosyć trudno. Kiedy jednakże wypowiada swoje przekonanie, formułuje je jasno i dobitnie. Jeż wogóle nigdy się nie bawi w półsłówka. „Mniemam—mówi on—że miłość jest bardzo poważną w społeczeństwie potęgą, na wskroś moralną, ale nie mniej przeto rzeczywistą, czysto-ludzką i bardzo czystą. Zrodłem jej matczyne łono. Z niego ono wypływa i towarzyszy człowiekowi przez całe życie. Człowiek jej potrzebuje jak powietrza do oddychania; potrzebuje zespolić się uczuciem, aby miał prawo być istotnym społeczności ludzkiej członkiem, aby miał prawo być człowiekiem. Kto nie kochał, ten nim jeszcze nie jest; a kto z miłości żarty robi, ten człowiekiem nigdy nie będzie. Zostanie albo zwierzęciem albo maszyną, to jest: albo *krwią ducha w sobie zaleje* albo też zatopi się w jakiejś specyjalności, która go *w formułę zamieni*." Miłość taka oczywiście nie może się opierać na złudzeniach, rozkwitać w upojeniu, wszale; lecz musi wybuchnąć jasnym płomieniem świadomej myśli; być kierowana rozwagą; nie tą ślimaczą rozwagą, któraby swojej nędznej skorupy pilnując, nie odważyła się wyjrzeć na świat sze-

[1]) Romans polski w początku XIX wieku, str. 63.

roki i przypatrzeć się jego objawom, ale tą rozwagą męską, pewną siebie, ważącą pojedyńcze czyny na szali wielkich celów. W razie przeciwnym miłość może się zamienić na idealne mazgajstwo albo też zwierzęce zmysłów rozdrażnienie. Przykładów piérwszego rodzaju nie spotkaliśmy dotąd u Jeża; drugiego za to mamy podostatkiem. Człowiek szlachetny wówczas staje się idyjotą bez poczucia nawet dawnej swej dzielności, zwłaszcza kiedy i inne jeszcze zawiodą go nadzieje, jak bohatera *Krwawych Dziejów*. Człowiek pospolity kąpie się w błocie po uszy, nie czując nawet, że grzęźnie jak w *Edwardzie Klocu* i *Helenie;* albo staje się istotą śmieszną, i głupią jak w *Ostatniej miłości* (trzecia część *Pamiętników starającego się).* Tak się przedstawiają skutki przytłumienia tego serdecznego uczucia w zakresie spraw jednostkowych. Podobnie rzecz się ma i co do spraw ogólnych. Ci, którzy się jej pozbyli, dla tych, „których miłość spaliła“ mają tylko słowa politowania i żalu; kiwają głową i mówią: „szkoda ich!... takie złote serca!.. zdaliby się na co innego.“ Są to istoty bezkrwiste, których arteryje przelewają jedna do drugiej ciepłą wodę albo rumianek. Sami do niczego niezdolni i innych chcieliby wprządz do jarzma niemocy. Kto zaś ma silne i jasne przekonania, kto się opiera na śmiałych zasadach i ogrzeje je prawdziwą, rzetelną, ludzką miłością; ten zdobył sobie życia wskazówkę i pancerz dla ochrony od niebezpieczeństw. A jeżeli nawet, jak Jan w *Historyi o pra... pra... wnuku,* ulegając popędowi zmysłów; „obryzga się w kałuży,“ to przecież w końcu wypłynie i oschnie i co miał zrobić—zrobi. „Nie jest jeszcze młodzieniec zgubionym—powiada Jeż— póki trzyma się nitki Aryjadny mającej go wyprowadzić z ogromnie w naszych czasach zagmatwanego labiryntu rozmaitych wyobrażeń o złym i dobrym, o brzydkim i pięknym. Rozpędziwszy się po drodze istotnej cnoty, chociaż nieco zboczy, nie zrobi on jednakże nalewo wtył, nie pójdzie wstecz, póki mu przyświeca gwiazda przewodnia silnego, śmiałego i szlachetnego przekonania.“ Takie zasady w sobie wyrobiwszy, można już wystąpić do walki życiowéj, w której nie zwycięża lament, ale stałość.

Jeż nie stawia żadnych paradoksów, żadnych frazesów olśniewających blaskiem jaskrawych lub tęczowych wyrazów, mających zakryć pustkę myśli; nie wodzi czytelników po manowcach przypuszczeń i domysłów. To co widział i zaobserwował, to czego się nauczył i co doświadczył, to co poznał i jak poznał, przedstawia czytelnikom swoim wprost, bez omówień, bez poetycznych ceregielów, spokojnie i trzeźwo. Trzeźwość ta właśnie nie pozwala mu na fantastyczne ekstrawagancyje, na myślowe łami-główki, które, sprawiając na czas jakiś pewne omdlenie duchowe, pozostawiają po sobie wrażenie sennego widzenia. Z tej strony rozważana, staje się ona dla jednych wadą, dla drugich wielką zaletą pisarza; piérwsi widzą w niéj zacieśnienie horyzontu twórczości; drudzy—rozumne powstrzymanie się od eksploatowania beztreściowości. Nie potrzebujemy podobno dodawać, że my zaliczamy się do tej drugiej kategoryi; nie chcąc się „gwałtem dostać w wieczność, gdzie króluje niedorzeczność...“

(*C. d. n.)*

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, ARTYSTYCZNA I NAUKOWA.

I.

Od najdawniejszych już czasów uczeni i nieuczeni, chciwi i ciekawi, romantycy i mali bajronkowie, wzdychali do zaczarowanej, śniącej w mgłach wieków krainy złota i szmaragdów, pereł i brylantów, hizopu i drzewa almugimowego, krainy którą Biblija *Ofirem* nazwała. Bogactwa tam miały być niesłychane, turkusami niebo a ziemia opalem usłana. Stamtąd to mityczna królowa Saby, przybyła do Salomona „z wielbłądami niosącemi rzeczy wonne“ i cześć mu niosła niby prastara i piękna Kleopatra, staremu Antonijuszowi. Owoż kraina ta tajemnicza jak stulistna róża dziś nam roztwarła łono swoje kwietne. Niejaki K. Mauch, zacięty Niemiec i podróżnik, ogłasza w niemieckich pismach, że znalazł owę mityczną krainę Ofir pod 20⁰ 15’ szerokości południowej a 26⁰ 36’ długości wschodniej. Zwaliska, jakie tam znalazł, wcale nieźle jeszcze zachowane, według niego mają mieć kształt Salomonowej świątyni. Architektura i ów zwyczaj fatalny budowania labiryntów, do których wejść łatwo a trudniej się wydostać, przemawiają za starożytnością budowli. Napisów nigdzie niéma, tylko na niektórych kamieniach ornamenta jakieś. Gdzieniegdzie cedrowe sufity, tak mówi p. Mauch, a może też z owego biblijnego almugimowego drzewa? Kto to wie? Z tajemniczej otchłani wieków na jasność dzienną wydobyła się kolebka owej królowej Saby, „co przyszedłszy do Salomona mówiła do niego o wszystkim, co miała w sercu swoim....“ Ale takie to już dziś czasy. Lubimy „na grobowcach siadać,“ grzebać w ziemi, odkopywać ślady dawnych czasów i doli dawnej. Nie wspomnę tu już nic o mamutach, mastodontach i innych tym podobnych wcale nie miłych figurach piérwotnego świata, a przejdę do opisu prześlicznej płaskorzeźby, znalezionej na *Forum romanum* przez d-ra Pietro Rosa, senatora. Uszkodzona a przecież klasycznie jeszcze piękna, przedstawia, o ile sądzić można, jakiś wybór, elekcyją ludową, bo szereg idzie postaci niosących tabliczki, które składa na jedno miejsce. Głównie wierzch uszkodzony, bo dolna część wcale dobrze przedstawia owe pyszne rzymskie nogi, nogi klasycznego świata. Co to, proszę was, za kolosalna różnica od dzisiejszych płaskich nóg sentymentalnych i chodzących jak kaczki Niemek? Co za elegancyja w tej rzeźbie, jaka prostota stylu, jaka wytworność! Znawcy uważają tę płaskorzeźbę za utwór z czasów starego wieku sztuki klasycznej. Tłem całej tej sceny elekcyjnej jest portyk jakiś pyszny, kolumnada wspaniała a czysta a spokojna w sobie. Ach ta spokojność, ta obojętność na wszystko, jaka nas porywa na twarzach greckich posągów, jakże jest od nas daleka! Szamoczem się, pracujem, zbieramy ziarnko do ziarnka zmęczeni, oblani krwi trudem a przecież niespokojni, niepewni jutra a jednak nieulękli, choć i natura i wszystko przeciw nam się sprzysięga. Bo proszę was szanowne a piękne moje czytelniczki (o czytelnikach nie mówię) spojrzcie lazurowemi lub czarnemi oczkami, na ten rok, który przed chwilą się skończył. Lato było ciepłe ale za to co za straszne przyniosło klęski, jakie wód wylewy, które do dziś dnia nawet nie ustają. We Francyi—Marna wystąpiła z brzegów, zalała wszystkie okoliczne doliny, niesłychane powodując straty. Biédna Francyja! zdeptana kopytami pysznych a zuchwałych Teutonów, topić się jeszcze musi w błękitnym łonie wód swoich. Ojciec Secchi, uczony na Kapitolu astronom, utrzymuje, że tego wszystkiego przyczyną jest ogon komety, w którego świetlne łono wtoczyła się nasza miła mama dobrodziejka—ziemia. Otoczeni złocistą i łagodną łuną światła, osypani deszczem gwiazd, mamy ciepłą nad podziw zimę. To też Anglicy strzelają sobie wełby, co się zmieści, ponury Eskuryjal pali się na nic z bogatą księżnicą, a Francuzi chcąc się rozerwać, wydają nową, zupełną edycyją dzieł Rabelais'go owego *Rabie laesus* chorego na wściekliznę, jak utrzymywali jemu współcześni. Wydanie to będzie przepyszne, z ilustracyjami Dorégo. Fantastyczny i szalony ołówek tego artysty, szlachetne ma pole do zużytkowania swego talentu, do szkicowania owych Pantagruelów i innych. Podczas kiedy Francuzi nowy wznoszą swemu pisarzowi pomnik, gdy Niemcy zawsze chorzy na pomnikomaniją, myślą o wystawieniu Lutrowi w Eisleben kolosalnej statui, w Ameryce, krainie Jankesów i tysiąca religij, powstał projekt połączenia kanałem przez międzymorze Panama Oceanu Spokojnego z Atlantyckim. Projekt to wprawdzie nie nowy, dawno już po głowach ludzkich chodzący, dziś atoli zdaje się, że z mglistej sfery projektów przejdzie w fazę spełnienia. Według ostatnich planów ma on się rozpoczynać od zatoki Meksykańskiej, wchodzić w koryto rzeki Guatsoeralco, poczym łączyć się z Oceanem Spokojnym albo pod Portillo de Tarifa, albo przez doliny Monetzu i Chacapa. Tym sposobem kanał nie wynosiłby więcej nad 120 mil. Życząc szczęśliwego wykonania tej myśli panom Jankesom, radzibyśmy byli ze swej strony, by ją jak najprędzej w rzeczywistość przemienili, bo wtedy może nabiorą ochoty swych łotrów i złodziei, gdzieindziej a nie do Europy wysyłać. Wyobraźcie bo sobie że na podobieństwo nasze, co wysyłamy do Azyi lub Ameryki wszelkiego rodzaju rzezimieszków, oni poczynają ich nam, tu do Europy, w podarku przesyłać. Śliczne podarki noworoczne!

W. P.

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Lwów 26 Grudnia 1872.

Celem niniejszego sprawozdania przeważnie prawie to, co zrobiono już dla życia, nauki i krótkie uzupełnienie tego o czym w poprzednich korespondencyjach wspominałem. Donosiłem, że młodzież lwowska garnie się najliczniej na wydział prawny, jako dowód—statystyka słuchaczów uniwersytetu lwowskiego w roku 1872 — na wydziale prawnym było słuchaczów w półroczu letnim 506 zwyczajnych i 13 nadzwyczajnych. Na wydziale filozoficznym było 138 i 30 farmaceutów; z obudwu wydziałów pobiera 102 zapomogi z rozmaitych funduszów stypendyjnych. Po wydziale prawnym najliczniej jest reprezentowany wydział teologiczny liczący 289 słuchaczy.

Dla licznego zastępu uczęszczających do szkół realnych a nie mających o czym kończyć studyjów technicznych, otwiera się teraz pole, wejdzie bowiem w życie wielce potrzebna szkoła leśnictwa przy akademii technicznéj. Pożyteczna ta instytucyja zawdzięcza byt swój galicyjskiemu Tow. gospodarskiemu, które wyjednało na założenie kursu subwencyją 3000 złr. z funduszów krajowych. Może też rozpocznie się racyjonalniejsze gospodarstwo w wielkich jeszcze obszarach lasów w Galicyi, wyzyskiwanych dotąd prawdziwie po barbarzyńsku, bez względu na to co tam stanie się po latach kilkudziesięciu.

Dla przemysłu, produktów surowych Galicyi i sztuk, mających być reprezentowanemi na wystawie powszechnej w Wiedniu, wybrano trzy komisyje główne, a mianowicie lwowską, brodzką i krakowską i wyznaczono na koszta przesyłki przedmiotów, lwowskiej 7000 złr., krakowskiej 5000 złr. i brodzkiej 3000 złr. Kwoty te pokryte będą z funduszów krajowych. Wyszła tu niedawno rozprawa zwracająca uwagę na korzyści wystaw powszechnych; skromna broszurka co do objętości, ale ważna ze względu przedstawie-

nia rzeczy w jasnym świetle. Tytuł jéj „Galicyja i wystawa powszechna w Wiedniu.” Autor usiłuje przekonać, coby można zrobić w kraju, w którym przemysł jest jeszcze w pieluchach — i to udaje mu się znakomicie, wylicza bowiem wszystkie niemal źródła płodów surowych, które dotąd zaniedbane lub zupełnie pomijane, mogłyby się stać obfitą kopalnią dochodów przy cokolwiek większym staraniu i pracy rzetelnej.

Dziennikarstwo tutejsze zajęte jest żywo sprawą „ochotniczej straży ogniowej”, liczącej już obecnie do stu członków czynnych. Towarzystwa straży ogniowych ochotniczych oddają w Niemczech niemałe usługi, a i lwowska, jakkolwiek dopiero w zawiązku, przysłużyła się już wielokrotnie spiesznym ratunkiem. Ze względu na częste wypadki pożarów na prowincyi, nie poślednią rolę odgrywa zawiązywanie podobnych towarzystw w obec zwłaszcza niedbalstwa gmin i braku wszelkich przyborów do ratunku. W październiku i listopadzie, zrządzone szkody w skutek pożaru, tylko w Galicyj wschodniej, wynoszą znaczną kwotę 122,862 złr. nieliczące w to pogorzeli miasteczka Jaryczowa, które spłonęło do szczętu. Kwota podana, to tylko szkody gmin wiejskich i to po większéj części nie ubezpieczonych w żadnym Towarzystwie ogniowym.

Z końcem roku witają nas dzienniki i wydawnictwa poważniejsze — zaproszeniem do przedpłaty. Prospektów niema, bo nikt nie myśli o zakładaniu pism nowych, *Dziennik Polski* tylko rozszerzył swe ramy i już przenosi się do własnej drukarni, którą założył, nabywca pisma, pan Rogosz. Najpoważniejszą bezwątpienia publikacyją jest wydawnictwo „Dziejów powszechnych” Szlossera, którego już tom pierwszy wyszedł. Cały czysty dochód z dzieła przeznaczony na oświatę ludową. Drugim niemniej pożytecznym przedsiębierstwem jest Antoniego Sznajdera wydawnictwo „Encyklopedyi do krajoznawstwa Galicyi. To przykład mrówczéj pracy i żelaznej wytrwałości. Człowiek ten, bez pomocy a raczéj przy pomocy wielkiej, bo własnej, nagromadził w ciągu lat kilkunastu cenne materyjały do opisów wszystkich okolic Galicyi pod względem nie tylko historycznym, ale i co do wartości ziemi niegdyś, źródeł leczniczych, kopalń, istniejących a upadłych fabryk, wiejskiego przemysłu i tradycyi jego i t. p. Z pism literackich peryjodycznych, jedyna *Strzecha*, która przetrwała złe i gorsze czasy i wychodzi regularnie, choć na nieszczęście z pretensyją pisma illustrowanego, kiedy znośna illustracyja pojawia się w niej ledwie raz na kwartał. Pojedyńczo wziąwszy artykuły Strzechy wychodzą z pod pióra znanych i cenionych pisarzy. Kraszewski, Jeż, Zacharyjasiewicz, Pol (niegdyś) ale też i tyle tego, bo redakcyi niema prawie. Niema przewodniej myśli, ruchu, znaku, że to wychodzi dziś, artykułu wskazującego jaki stały kierunek, bez którego żadne pismo nie obejdzie się. *Przegląd lwowski*, pismo polityczne-naukowe i literackie wziąwszy sobie za wzór *Przegląd Polski* Krakowski naśladuje go niedołężnie. Ksiądz Podolski redaktor, dowodzi—że jest tylko księdzem i to zacofanym, ale bardzo słabym politykiem. Wszyscy dlań bezrozumni a na złe w społeczeństwie ma tylko jedno lekarstwo: praktyki religijne, nieomylność Ojca św. i pioruny na bezwyznaniowość w naukach(!) Pism, przeznaczonych specyjalnie dla ludu, mamy we Lwowie dwa: *Dzwonek* i *Chata*. Dzwonek spełnia zadanie swoje chwalebnie, oile odstępuje od nałogu rzecby można wmawiania w klasę i tak zabobonną, że wszystko jest karą Bożą. Nie lepiejże powiedzieć, że wiele smutnych zawodów w życiu jest skutkiem własnego niedołęstwa, lenistwa, nie liczenia się z dniem jutrzejszym? *Chata* pod kierunkiem ultramontanów karmi swych cztelników przeważnie legendami, głosi posty, pokuty i wszystko zwala na Pana Boga. Brak myśli i rady praktycznej obok bezwzględnéj nietolerancyi nie może wcale prowadzić do upragnionego celu, do oswiaty. *Rękodzielnik* nakoniec, dwutygodnik i to pojawiający się skromnie tylko na pół arkuszu—pismo z poczciwą tendencyją a jak sam tytuł wskazuje uwzględniające wielce zaniedbaną tu stronę zmysłu praktycznego, w ostatnich czasach zachwiane w egzystencyi, powstaje na nowo. Jedyną jego wadą było, że redakcyja podawała w fejletonie przekłady nieraz niesmacznych i wcale nieodpowiednich urywków z romansów francuskich, jak gdyby, nie było rzeczy pożyteczniejszej np. obrazki z przyrody, podróże albo nareszcie jaka powiastka osnuta na tle życia rzeczywistego. *Szkoła*, organ Towarzystwa pedagogicznego istnieje już rok V-y, co dowodzi, że odpowiada założeniu budząc zajęcie w gronie nauczycielstwa. W program Szkoły wchodzą rozprawy pedagogiczne, metodyczne z przedmiotów szkolnych, postrzeżenia zmierzające do ulepszenia szkół i t. p. Nie pomija przytym i bibliografii fachowej lub będącej w styczności ze szkołami. Redaktorem szkoły jest pan Stanisław Sobieski. *T. S.*



Pisarze dziejów polskich (Scriptores rerum polonicarum). Tom I-szy: **Dyjaryjusze sejmów koronnych 1548, 1553 i 1570 r.** Z rękopisnıów wydał i przypisami objaśnił *Józef Szujski*. Kraków. str. XX, 311.

Od r. 1870 istnieje w Krakowie *Komisyja historyczna*, powstała z łona Towarzystwa naukowego Krak., któréj celem jest zbieranie i wydawanie *materyjałów* do historyi Polski, będących jedyną gruntowną podstawą sądów, jakiebyśmy o wypadkach dziejowych wydawać chcieli. Komisyja udaje się do wszystkich osób, milujących dobro ogólne, z prośbą o przesyłanie najróżnorodniejszych aktów, dyplomatów, nadań i t. p., wyjaśniających jakikolwiek niewiele lub zupełnie nieznany szczegół historyczny. Na teraz atoli ogranicza się głównie na 3 epokach, które rozjaśnić sobie zamierzyła. Wiek XV, panowanie Zygmunta Augusta i wiek XVIII — stanowią najważniejszą część zajęć i starań Komisyi. Ze zebranych dotąd materyjałów Komisyja ogłosiła tom 1-szy, w którym napotykamy 1) obszerny, obfity w nader ważne szczegóły *dyjaryjusz sejmu odbytego w Piotrkowie r. 1548* od 3 października do 12 grudnia (str. 161—258); 2) krótki dyjaryjusz *Sejmu Krakowskiego* z r. 1553 (str. 1—33); 3) takiż dyjaryjusz *Sejmu Warszawskiego* z r. 1570 (str. 113—132). Przypisy, objaśniające treść dyjaryjuszów, dokonane przez p. *Szujskiego*, znanego badacza na polu historycznym, obszerniejsze niekiedy od samego tekstu, podają starannie zestawione szczegóły dotyczące działaczów sejmowych, historyi kościoła i religii w Polsce (od r. 1548—1555) i innych spraw państwa, które w tym zakresie czasu były przedmiotem narad, dyskusyj i poselstw. Nie wdając się w bliższy rozbiór tak samego tekstu jak i przypisów, nadmienimy, że materyjały przez Komisyją wydane, rzucają cokolwiek jaśniejsze światło na sposób sejmikowania w dawnéj Polsce, dając możność skreślenia w przyszłości dokładnéj a prawdziwéj historyi naszego parlamentaryzmu. Co do treści to ta przeważnie obraca się około tak zwanéj *egzekucyi praw* tj. rewizyi, ulepszeń, wykreśleń i t. p. ze zbioru ustaw dawniejszych, łącząc ze sobą zarazem kwestyje polityczne i religijne. W politycznych przebija się chęć wyłamania się szlachty z pod nacisku możnowładców; w religijnych — chęć równouprawnienia inowierców z katolikami. *P. Ch.*

Odpowiedzi od Redakcyi.

— *D-rowi Baranieckiemu* w Jarmolińcach. Za rozpowszechnianie pisma serdecznie dziękujemy. Cztery roczne prenumeraty na rok przyszły wynoszą Rs. 20 (po 5 rs.) zatem pozostałe Rs. 15 kop. 20 wręczymy Zarządowi Bióra informacyjnego o nędzy wyjątkowej — stosownie do życzenia pańskiego. Kwit natychmiast po odebraniu go nadeślemy.

— *Prenumeratorce z Białej Rusi. Gimnastyka dla dziewcząt* kosztuje z przesyłką 60 kop.

— *Pani Zuzannie Wasilkowskiej w Nowo-Gieorgiewsku Gub. Chersońskiej.* Nie mamy pani na liście prenumeratorów — Opłatę na rok 1872 złożyła pani zapewne w jakiéj Księgarni Warszawskiej — Księgarni więc tej zgłosić się należy po odbiór b kujących numerów „Opiekuna Domowego“

Od Redakcyi.

Z przyczyny że powieść *Valmont'a* p. t. **„Szpieg pruski“** nie mogła być w roku zeszłym ukończoną, dołączamy do 1-go i 2-go numeru **„Opiekuna“** dwa dodatki nadzwyczajne. Stosownie zaś do ogłoszenia podanego w prospekcie, dla wszystkich prenumeratorów, dołączymy przy 3-im numerze za miesiąc Styczeń pierwszy tom powieści *Zaconne'go* p. t. **„Tajemnice Komuny“**. Nowo przybyli prenumeratorowie, mogą nabyć w Redakcyi naszej komplety IV-go kwartału z r. z. obejmujące początek **„Szpiega pruskiego“** i **„Hrabiny Elodyi“** za cenę: *w Warszawie*: kop. 75- *na prowincyi*: rs. 1 kop 20.

☛ Do dzisiejszego numeru dołączamy dla wszystkich prenumeratorów pierwszą kartkę **Śpiewnika Domowego**, obejmującą piosenkę młodego a utalentowanego kompozytora p. Zygmunta Noskowskiego. Zwracamy uwagę czytelników naszych na ten utwór, raz ze względu na to, że tekst do muzyki wzięty z *Sarbiewskiego*, z którego dotychczas muzycy nasi nie czerpali — a powtóre, że piosenka sama odznacza się i świeżością pomysłu i artystycznym obrobieniem. Przy tej sposobności nadmieniamy, że p. Noskowski i nadal zapewnił nam swą pracę.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca. HENRYK PERZYŃSKI. WACŁAW SZANIAWSKI.

Redaktor, Henryk Perzyński.

☛ Patrz Dodatek